

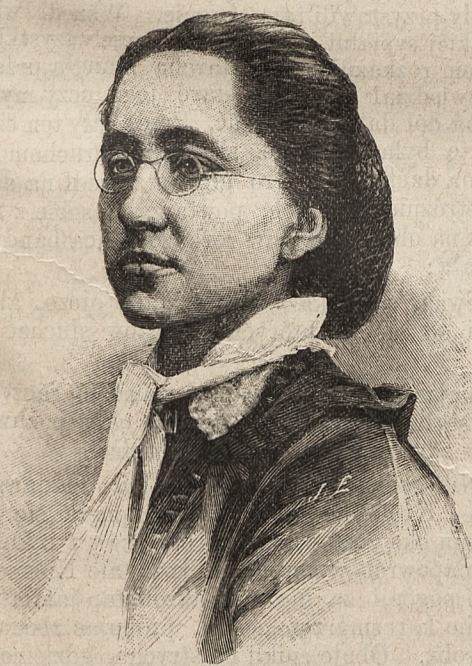


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Anastazy Dziecuszycka.

Imię téj, która po życiu pełnem trosk położyła się wreszcie na spoczynek wiekui sty, w mogile otoczonej czią mogi-
łom zasłużonych należną, mało znanem jest zapewne dzisiej-
szym czytelnikom Wieczorów. Od kilku już lat chorobą zło-
żona św. p. Anastazy Dziecuszycka nie brała pióra do ręki,
ale w pierwszych latach istnienia naszego Pisemka zasilala je

utworami swemi, przejętemi zawsze szczerą miłością dla mło-
dzieży, którą żywem, barwnem opowiadaniem pouczającej tre-
ści zając i zabawić umiała. Starsze pokolenie czytelników
naszych przypomina sobie zapewne *Kilka Obrazów z podróży*
po Egipcie, *Złote igły* powieść wschodnia, drobniejsze powia-
stki jak „*Leoś*” „*Mały a pożyteczny*” i t. p. przedewszystkiem
zaś „*Czytania wieczorne*” (r. 1880-81) prawdziwy wybór poezyi,
w którym teoria poparta umiejętnie dobranymi wzorami
tak jest przystępnie objaśniona, że nawet młodsze dzieci
z łatwością i korzyścią czytać je mogą. Z innych jęj prac,
u p. M. Orgelbranda wyszłych, ogólnie znane i zawsze czyty-
wane chętnie: „*Szary dom*”, powieść tłóm. z ang. „*Olimp*”
z niem. przerobiona mitologia dla młodego wieku, oraz z dzie-
dziny przyrody „*Życiorysy węgla, Ziarnka soli, Kropki wody,*
Ułamka zardzewiałego żelaza, i Bryłki krzemienia”. Z ory-
ginalnych jęj prac: „*Jak sobie dziatwa radziła*” jest nieporó-
wnaną nauką praktyczności i szczerze radzimy to przeczytać
tym, co w łatwem nawet położeniu nie zawsze radzić sobie
umieją. Wszystko, co wyszło z pod pióra ś. p. Dziecuszyckiej
dowodzi, że była to osoba nietylko wysoko wykształcona, ale
jeszcze macierzyńskiem prawdziwie sercem kochająca młode
to pokolenie, któremu tyle prac poświęciła i pragnąca wpoić
w nie te wysokie i szlachetne zasady, jakim w ciągu całego
życia hołdowała. Życie to nie lekkim było, ale w dźwiganiu
jego ciężaru dopomogła św. p. Anastazy gorąca pobożność
i równie też gorące pragnienie pożytecznej pracy dla społe-
czeństwa. Do tego obowiązku od dziecka się poczuwała.

Dotknięta nieuleczalną chorobą skutkiem przebytych
cierpień, dostała się pod opiekę Sióstr Miłosierdzia w Pozna-
niu, w których szpitalu zakończyła życie w pierwszych dniach

maja roku bieżącego. Cześć ogólna, serdeczny żal podległych jej kierunkowi wychowanek otacza jej mogiłę, nad którą czuwa ten Anioł, co życie zmordowanych wędrowców w wyłącznej ma opiece.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dokończenie).

— I cóż zamierzaliście począć z sobą? — pytał syn zalamując ręce.

— A cóż... wiedzą ludzie że nie było w tem winy naszej, więc siadłszy na wóz pojedziemy jutro do miasta, i tam w najtańszym sklepiu zacznie się na nowo dawne rzemiosło tak, jak gdybyśmy dopiero co się pobrali i zaczęli pracować i dorabiać się.

— Ależ ja wziąłem świeżo dwanaście tysięcy reńskich za trzecie wydanie moich poezyi u Gustawa Emicha!... jesteście bogaci znowu! Zapłaćcie długi i pozostaniecie w starym ulubionym domu!

— Nie; dom tyle jest wart ile warci ludzie w nim i naokoło niego: odkąd dawni znajomi opuścili mię dla małpy, papugi, katarynki, pudła i pary Niemców w dodatku, obrzydził mi dom i puszta obrzydła. Zresztą, jakbyś tu za nas zapłacił to sam nie siedziałbyś tu przecież z nami lecz tam znowu w mieście będę cierpiał, ciężko pracując, gdy dziennikarzem jesteś. Otóż dajmy pokój starłej czardzie; niechaj chciwy Niemiec nią się ucieszy, bo on to zapewne utrzyma się przy licytacji, niech się tu dzieje co chce. Matka Janosowa mądra doświadczona kobieta, zostanie tu przez jutro, my i patrzeć na to co dziać się będzie nie chcemy, niezbędne rzeczy nasze już spakowane, skoro świt wsiadamy na wóz i jedziemy do miasta, jak ci to już powiedziałem.

— Ha, jeżeli tak, jeżeli dobrowolnie nie chcecie w starłej czardzie pozostać, to nie jedźcie przynajmniej do tej miejsciny, lecz do mnie do Pesztu, gdzie mam utrzymanie. Żyjmy przynajmniej w mieście razem, jeżeli w puszczy razem żyć już nie możemy.

Stary Petöfi spojrział na żonę i machnął ręką z uśmiechem:

— Otóżes matce dogodził!... Już choćbym ja teraz chciał inaczej, to ona nie rozstanie się z tobą póki życia.

Jakby na potwierdzenie tych słów, matka pochwyciła jedynaka w ramiona, nie wiadomo który raz od godziny.

— Tak nam pilno rozpocząć to nowe życie, w którym nie będziemy musieli obsługiwać pocziwych naszych szegeny legeny, że jak widzisz jesteśmy już w podróżnym ubraniu. Mielśmy jechać równo ze światem, nie patrząc na to jak tu obcy ludzie gospodarować będą, ale teraz wstrzymamy się dopóki będzie można, a ty pójdz połóż się i prześpij po śpiesznej i długiej podróży, oto posłanie gotowe.

— Ani myślę matusiu, anibym nawet mógł zasnąć z radości że was w zdrowiu oglądam i że się tak rzeczy ułożyły iż opuszczenie starłej czardy nie jest dla was ciężką boleścią, jak się tego najmocniej lękałem. O świecie wedle waszego postanowienia siadziemy razem na wóz, mój wózek z pakunkami będzie za nami szedł, i... żegnaj stara czardo kochana kiedy ludzkie dokuczanie potrafiło nawet od ciebie serca twych mieszkalców odwrócić!

Tak postanowiwszy, zaczęto natychmiast ostatnie robić przygotowania; wóz był już upakowany prawie, Matka kładła zapasy w koszyki tak ochoczo, jak chyba nigdy jeszcze nie zdarzyło się to gospodyni, mającej dom własny zabierany przez dłużników opuszczać.

XVIII.

Wesoło, z lekkim sercem, zupełnie jakby dziewięcioletni chłopczyna nosił Szandor do wózka pakunki i koszyki podawane mu przez matkę, słowo w słowo jak wówczas, gdy oboje ze służbą na jarmarki i do kościoła jeździli, nim jeszcze z ojcem do lasu Bakony poraz pierwszy pojechał. Nagle cień ludzkiej postaci przewinął się wśród pierzchających nocnych ciemności koło węgła:

— Kto tam? — wesoło spytał Szandor trochę zdziwiony i rad owszem ujrzeć kogoś znajomego, wiedząc że w czardzie prócz Janosowej matki niema nikogo więcej.

— To ja!... ale wy mię pewno nie poznacie, młody panie?... — odpowiedział cień przystępując bliżej; lecz „młody pan” poznał od razu po głosie.

— O!... stary ojciec artysta! Witaj! A zkadze się tu wziąłeś? I sam jeden? A jarmark jutrzejszy? Przecież się nie obejdzie bez ciebie? — żartował serdecznie, bo tak był usposobiony że chciałby cały świat do piersi przycisnąć.

— Oczywiście że jarmark tak samo jak wesele na nie bezemnie. To też pojedę tam, ale na koniu, wystrojony jak wielki pan z masztalerzem tylko, nie zaś z całą bandą, w której między nami mówiąc, dużo jest szubrawstwa. Zeby się zatem wypaść wprzód nalezyćcie, wstąpiłem po drodze do pańskiej gospody: może pan nie wiesz że pocziwa matka pańska, od roku już mając próżną komorę na strychu, pozwala nam w niej nocować i odpoczywać a wysypiać się ile chcemy?

— Ze pocziwa, o tem dobrze wiedziałem, a cieszy mię że i wy wiecie, gdy wielu dawnych znajomych podobno o tem zapomniało. Spijcie zatem spokojnie staruszku i bywajcie zdrowi, my oto zaraz wyjeżdżamy, bo już się rozwidnia.

— Szczęśliwej podróży z serca życzę! — gorąco jakoś rzekł starzec, i znikł za domem, obchodząc go już od godziny w ten sposób, jakby strażnik jaki. Zachodząc na przeciwną stronę domu z kąd wózków stojących u drzwi głównych wcale widać nie było, zdawało mu się że postać ludzka niewyraźna jak widziało, wleciała na strych po drabinie, którą dla własnej wygody przystawili tam cyganie. Wszedł więc także do tej cygańskiej sypialni, obejrzał starannie wszystkie kąty, groźnym głosem rozkazując aby Marcha stanęła przed nim i narazcie powiedział sobie, że stare jego oczy mylić się mogą i zeszedł na dół dalej stróżować. Przez cały ten czas Marcha, gdyż ona to była w istocie, siedziała nieruchomo skulona za kominem na dachu i dopiero gdy on zeszedł na dół, ona wsunęła się ostrożnie na strych, powtarzając sobie z wielką skrucą, jakby na obronę przeciw rozkazom ojca bandy, które dobrze słyszała:

— Święte są rozkazy twoje stary ojczy, ale są jeszcze potężniejsi od ciebie, których rozkazów słuchać muszę: duchy!...

Po niejakić chwili Cyganka schodzić zaczęła po drabinie i już stała na ostatnim stopniu, gdy pochwyciono ją za kark i głos zdyszany zasyczał jej do ucha:

— Nie trzeba już... nie trzeba! Oddawaj moje pieniądze! — Królowna indyjska szarpnęła się gwałtownie, i w mgnieniu oka zostawiając purpurę swą w rękę napastnika, skoczyła napowrót w górę, jak kot; ale Niemiec nie dał za wygraną i pogonił za nią jak akrobata, jakim podobno był istotnie, nim karczmarzem został, próbując zbogacenia się na różne sposoby. Oboje znikli na strychu, gdzie rozpoczęła się między nimi zajądła gonitwa. Karczmarz pewien był że Cyganka ma pieniądze przy sobie i gonił jakby o życie chodziło, ale nie znał zakątów poddasza, które rozwarte na cztery wiatry odkąd pustką stało, znane było doskonale Cygance, to też po chwili zapadł nogą w jakiś otwór w deskach, czy też w samotrzask stary na wilki, porzucony tutaj, i szamocząc się rozpaczliwie z tym niespodzianym wrogiem, tracił prawie przytomność, i nie słyszał nawet głośnych jakby z palnej broni wystrzałów z biczów, jakie nagle huknęły przed czardą.

Cały zastęp czikosów świetnie strojnych jak na wesele, hasał na dzikich żrebcach około wozów u wejścia gospody, pa-

ląc z biczów na pożegnanie staremu gospodarzowi, któremu oni jedni dochowali wierną przyjaźni. Słońce wschodziło w całej potęgze swego majestatu.

— Spodziewałem się tego! — zawołał tryumfująco stary Petöfi, stając w progu z ogromnym koszem pełnym butelek — Wypijemy strzeziennego! — i stawiając kosz rozłożył ramiona czikoszom:

— Szandor! Szandor pieśniarz nasz! — wołali tymczasem w uniesieniu radości dzielni pasterze, bo zjawienie się tu Szandora było dla nich niespodzianką. On zaś leżał już w ramionach zanego Pala. Jednocześnie wózki i jeźdźcy ukazywali się ze wszystkich stron, bo wszyscy zarówno jak czikosi wiedzieli że Petöfiowie wyjeżdżają o świcie, i serca dobre choć lekkomyślne, odezwały się w chwili rozstania szczerą sympatią, dla starego pocziwego gospodarza. Jadący na jarmark stawali także żegnając Petöfich: wszyscy, nacieszywszy się małpą, papugą i Niemcami, pomstowali teraz na nich, jako na główną złą doli Petöfich przyczynę. Jak gospoda gospodą nie było w niej jeszcze tak liczno grono serdecznych przyjaciół, jakie teraz otaczało wozy stojące już na gościńcu, zaprzężone dwoma parskającymi czwórkami. Nigdy nie ścisłano się serdeczniej, nie strzelano z biczów głośniej, nie wykrzykiwano z większym zapałem „Eljen” na cześć Petöfich.

Nagle przeraźliwy krzyk rozpacz przebił się przez tę wrzawę rozgłosną: wszystkie oczy zwróciły się tam z kąda pochodził, i tłum osłupiał, ujrawszy że cały dach starej gospody stoi w płomieniach, a wśród nich wije się człowiek jakby przysłany do zgłiszczów, krzycząc ratunku. Mógł przecież zeskoczyć z niezbyt wysokiego dachu: dla czego nie skoczył? A sam ogień z kąda się tam wziął?

Zdziwienie ogólne było tak wielkie że w pierwszej chwili cały tłum oniemiał, skamieniał, a wśród tej ciszy i nieruchomości, mała czarna postać przedzierając się wśród ludzi obojętnie, ale gwałtem jak fatum, stanęła przed siedzącą już na wozie rodziną Petöfich i nieprzytomnie wpatrywała się w nich oczyma. Musiała być w jej wzroku siła jakaś, bo po niejakić chwili oczy Szandora jak pociągnięte czarem spotkały się z jej oczami i zadrżał:

— Ach, ach, płomienie, krew!... pomsta!... — szepnął sam do siebie przecierając oczy i przypominając groźby Cyganki.

— Tak! płomienie! płomienie! krew!... — powtórzyła Cyganka zwolna jak senna, nieprzytomna widocznie — duchy mszczą krew wielkiego Ramy znieważoną!... Jakimże sposobem wy... wy trzej którzy powinniście ginąć w tej chwili w płomieniach tam!... jesteście żywi tutaj?...

Biedna waryatka od tygodnia nieobecna w okolicy, gdyż poszła z listem do Szandora, wróciwszy mimo szalonego pośpiechu tegoż wieczora dopiero, nie wiedziała nic wcale o ogólnym zwrocie sąsiedzkiej sympatii ku Petöfim, skutkiem czego był zjazd dzisiejszy przed czardą, o wschodzie słońca, i podpaliła śpiących jak sądziła w czardzie; odurzona nie tylko niespodzianym zjazdem, ale może jeszcze i tajemniczym działaniem indyjskiej jakiejś trucizny, jak to myślał stary artysta, nie pojmowała zupełnie co się stało.

— Ach!... to pewno nieszczęsny stary cygan ojciec bandy, artysta, bo on spał dzisiaj na strychu! — krzyknęła nagle Petöfiowa, patrząc wciąż na nieszczęśliwego na dachu, za ledwo zdoławszy przemówić z przerażenia. Jej okrzyk jakby odczarował zdumienie ogólne, wszyscy rzucili się niby na wiatrem rozrzuconych łachmanach, leciała Marcha:

— Ojciec! stary nasz ojciec! — przeraźliwie wołała leć. — Ojciec czekaj! To ja! ja podpaliłam Petöfich, ale ciebie wyratuję! Czekaj!...

Nie czekał jednak: w chwili gdy inni dobiegali za ledwie do płonącej gospody, Cyganka szalona wdarła się już po zgłiszczach aż do wijącego się w płomieniach człowieka i wraz z nim stanawszy na przepalonych krokwiach, runęła z trzaskiem w przepaść ognistą.

Nieprzewidziany ten wypadek powstrzymał wyjazd Petöfich. W chwilę później stali nad zwłokami Niemca karczmarza i Marchy, napróżno usiłując ich ratować. Z kąda tu Niemiec? Gdzie stary Cygan?

— Matko! — szepnął młody poeta, ściskając rękę Petöfiowej — mnie się zdaje że ta kobieta mszcząca się na nas za najpierwszą zniewagę od ojca mego doznaną, jak mówiła, była jakby moim złym duchem i walczyła z tobą dobrym duchem moim o błogosławieństwo ojcowskie dla mnie, bez którego niema dobrej doli... tyś zwyciężyła: pod wpływem błogosławieństwa nie podlegam więcej jej potęgze i przeto z rozpaczy przegrawszy sprawę ona przepadła...

— Ech, co ci się marzy, pieśniarzu synku mój — odparła żywo Petöfiowa — oto nieszczęście padło na tych ludzi, my nie im nie możemy dopomóc, i nic sobie nie mamy do wyrzucenia, zatem odjeżdżajmy ztąd copędzej i nie myśl o tem więcej: Żegnajcie raz ostatni, przyjaciele!

— Żegnajcie! — odpowiedział głos znajomy wśród wielu znajomych.

— Ach! to ty stary artysto cygański! ty żyjesz! Dzięki niebu, z lżejszym sercem opuścimy przeto stare domostwo.

— Tak to ja, tylko Marcha, Marcha nieszczęsna padła, ofiarą na ołtarzu pychy, starożytnego wroga ludzkości... — szepnął.

* * *

W kilka dni potem rodzice słynnego poety osiedlili się z nim razem w Peszcie.

Pod wpływem błogosławieństwa pierzchły wszystkie mary jego zbyt bujnej wyobraźni z lat pierwszej młodości.

Wtedy to odwiedził go raz w domu stary żołnierz:

— Czy mię pan pamiętasz? — spytał przykładając rękę do czoła.

Petöfi poznał dobrego kaprała, który nieraz w czasie służby wojskowej, patrzył przez szpary na jego drobne błędy i z uśmiechem słuchał poezji recytowanych z pamięci podczas warty. Przyjął go też serdecznie poeta, okazując uszanowanie winne starszemu stopniem.

— Ależ siadajże! czemu nie siadasz — wołał uściskawszy starego, który spełnił czarę wina, ale stał ciągle.

— O nie — odparł sierżant — wiem że nie jesteś pan ani generałem, ani kapitanem, ale jesteś wielkim człowiekiem i zasługujesz na cześć narodu!

Dalsze życie Szandora Petöfi należy do historii, w której chlubną zajmuje kartę, gdyż to cośmy dotąd opowiedzieli, było w istocie tylko wstępem do bardzo czynnego jego zawodu. Poślubiwszy Julję Szendrei, żył na łonie ukochanej rodziny, walcząc zarówno piórem jak szablą za swe przekonania w razie potrzeby i za nie też życie położył na polu chwały.

Najdawniejszy zabytek mongolskiego budownictwa.

Najdawniejszym zabytkiem mongolskiego budownictwa są w Narszywanie mieście armeńskim, pełnym wspaniałych szczątków starożytności, na głównym placu, zwaliska meczetu, sięgające XIV wieku. Wszystkie ściany pokrywa tu przesłonna mozaika emalowana na kolor turkosowy, wytwarzająca przepyszne rysunki. Brama ostrołukowa ma napisy z emalii niebieskiej na różowej cegle; po bokach jej dwa smukłe minarety strzelają wysoko ku niebu. Na szczytach tych starożytnych zwalisk gnieźdzą się bociany zwane tu długonogimi pielgrzymami. Uważane także za zwiastuny szczęścia, przechadzają się swobodnie po mieście w zupełnej zgodzie z ludźmi i w poufałych z dziećmi stosunkach. Tylko z orłami i sępami staczają zawzięte walki, spotkawszy się z niemi na wycieczkach poza miastem, gdzie zdobywają węże na żer dla siebie i swęj rodziny.

Okolica tutejsza oddalona o półtora dnia drogi od Erywanu jest niejako progiem dawnęj Persyi i język perski tu zaczyna dopiero swe panowanie. To też i zwyczaj i ubiór

mieszają się potrosze. W okolo Erywanu kraj jest kwitnący, żyzny i dobrze uprawny, kobiety wieśniaczki pracują w polu, poubierane najczęściej w krótkie koszule i spodnice z czerwonej bawełnicy. Sady owocowe, zboże, ryż, bawełna, wino, udają się przewybornie. Ale bliżej Narszywanu rozpoczyna się kamienista i pozbawiona roślinności okolica; zaprzęglszy niekiedy po sześć par koni do jednego powozu, jedzie na nich sześciu pocztionów, zwłaszcza gdy rzeki się wzburzą w skutek śnieżnych roztopów. Ćwicząc konie co siły, a pędząc jak szaleni przejeżdżają stojąc w siodłach przez rzeki i przewożą

wę, do tego są jeszcze kołdry mniejsze do nakrycia, co wszystko układa się wprost na podłodze, zabierając się do spania, albo i na gołej ziemi, jeżeli w podróżnych workach niema kobierców do podłożenia pod pościel. W innych mniejszych workach wożą z sobą kociołki do gotowania narodowego *pilo* z drobiu, baraniny, ryżu i z kwaśnem mlekiem co wszystko zarówno jak cukier, świece, jarzyny, trzeba mieć także z sobą równie jak i naczynie do gotowania *nimru* t. j. jaj sadzonych i mnóstwo innych rzeczy, bo w tak zwanych *karawanserajach* niby hotelach tamecznych, dostępnych dla wszystkich wiatrów, niema najczęściej nic, prócz gołej ziemi.

NIEBIESKA PÓNCZOSZKA.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

przez **Bronisławę Porawską.**

(Dokończenie).

P. ANIELA (*patrzac na Włodzia*). Więc przyjechałam za-
wczesnie, a jednak, wyraźnie, po razy kilka powtarzałam, na
kiedy nauczyć się macie, więc to was obowiązywało, a nie
dzień mego powrotu (*po chwili namysłu*). To smutne, to bardzo
smutne, żeby chłopiec w tym wieku, tak nie rozumiał, co
to jest obowiązek.

WŁODZIO (*zawstydzony*). Proszę pani...

P. ANIELA (*nie spuszczać z niego oczu*). Cóż powiesz na
swoje usprawiedliwienie?

WŁODZIO. A to... proszę pani, (*n. s.*) nie mogę znieść
tego przypatrywania mi się, patrzy i patrzy, (*machnąwszy ręką*)
jakbym był Chińczykiem.

P. ANIELA (*patrzac ciągle na niego*). Co mówisz?

WŁODZIO (*kręci się niespokojnie i co spojrzy na p. Anielę odwraca
oczy*). Nic proszę pani... ja mówię... że byłbym napisał
dziś z pewnością, gdyby pani nie była wróciła.

P. ANIELA. Ciągłe jedno i to samo, ale mnie nie o to
chodzi, że byłbyś napisał, tylko, dla czegoś nie napisał. Ha, to
to się już nie odstanie, a więc zaczniemy lekcye, a o wypracowa-
nium będziemy mówić jutro, gdy mi je oddacie. Bo na jutro
mają być napisane? czy tak?

DZIECI (*spoglądając po sobie*). A tak, na jutro.

P. ANIELA. Włodziu, proszę o geografię.

WŁODZIO (*bierze książkę prędko i patrzy w nią pilnie*). Zaraz
proszę pani.

P. ANIELA. Czy jeszcze nie umiesz?

WŁODZIO (*oddając książkę w którą p. Anieli spojrzawszy kła-
dzie na stole*). Miałem proszę pani o granicach Ameryki.

P. ANIELA. Wiem, mów.

NIUNIA. P. Anieli zawsze wszystko wie, ani spojrzy
w książkę, mówi i mówi, zawsze na pamięć, ja nie wiem jak
to można tyle umieć.

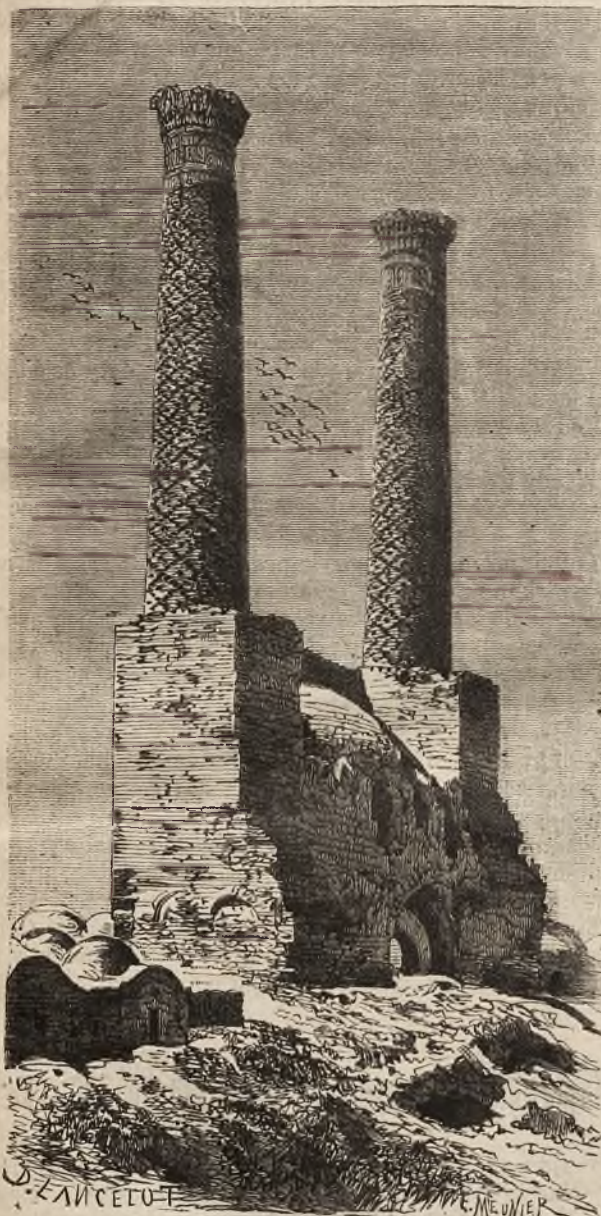
WŁODZIO (*krzaka, mruga prędko oczyma, gładzi czuprynę, wycią-
ga z kieszeni chustkę do nosa i używa jej*). Po odkryciu Ameryki
przez (*przeżyłka*) przez... Krzysztofa... Krzyszto- fa... Ko-
pernika...

P. ANIELA (*obojętnie*). Dosyć, już wydałeś.

WŁODZIO (*ocierając chustką pot z czoła*). Przepraszam panią,
ja się omyliłem, wiem przecież, że przez Mikołaja Kolumba.

P. ANIELA. Dosyć, widzę że nauczyłeś się dobrze, to
jest naturalnie wszystko jedno, czy Mikołaj Kolumb, czy
Krzysztof Kopernik, i jeden i drugi żyli, a co do imion, бага-
tela, które do którego należało (*zwracając się do Niuni*). Niuniu,
zaczniemy od religii, proszę o książkę.

NIUNIA (*która podczas powyższej rozmowy uczyła się pilnie, kiwa-
jąc głową*). Zaraz proszę pani (*podając książkę*) oto jest, miałam
ten rozdział z powtórzeniem.



Najdawniejszy zabytek mongolskiego budownictwa.

w ten sposób podróżnych zamaczanych po szyję którzy trzy-
mają się oburącz w powozie, skaczącym w górę jak piłka,
lub zalewanym wodą chwilowo. Nie zbyt daleko za Narszy-
wanem jest wieś Dzulfa nad rzeką Arahim, i tu jest stacya
linii angielskiego telegrafu łączącego Londyn z Indyami. Kto
ztańd puszcza się dalej w podróż po Persyi musi przygotować się
na wszelkie niewygody. To też mieszkańcy podróżując wożą
z sobą w ogromnych workach zwanych *mafresz* zrobionych
z dywanów, swoje *przybory nocne kharte-khab*, które im służą
za łóżka. Właściwie są to kołdry bardzo wielkich rozmiarów
grubo watowane, z perkalu kolorowego, składają je w kil-
koro, z pewną umiejętnością w swoim rodzaju, wyżej pod gło-

P. ANIELA. Na co Pan Bóg stworzył aniołów?

NIUNIA (*prędko*). Są to duchy czyste nie mające ciała.

P. ANIELA (*przeciągle*). Tak, ale ja się pytam: na co Pan Bóg stworzył aniołów?

NIUNIA (*jękając się*). Proszę pani... bo... bo pani nie pyta po kolei.

P. ANIELA. Może trzeba było zacząć od początku?

MARTUSIA (*ciągle zakłopotana*). Ach to pończocha dzięki Bogu zginęła... bodajże cię... chciałam mówić wróciła, ale bo tak człowiek zakłopotany, to i nie wie co mówi (*szuka pod stolikiem, na stoliku, kręci się po pokoju*).

WŁODZIO (*po cichu do Niuni*). Będzie nowa historia, a jeszcze się jedna nie skończyła!



Uczone króliki.

Więc powiedziawszy prawdę nie umiecie ani jednej lekcji? nie napisaliście nic, coż zatem robiliście przez te dwa dni mój nieobecności? (*wbiega Martusia*).

Scena IV-ta.

Ciż SAMI MARTUSIA.

MARTUSIA (*bardzo zakłopotana*). A! mój Jezu kochany, przewróciłam wszystko i nigdzie znaleźć nie mogę.

P. ANIELA. A co to Martusi zginęło? Jak się Martusia ma.

NIUNIA (*również cicho*). A widzisz? mówiłam, szkoda pończochy, radziłam, daj pokój, teraz masz...

WŁODZIO. O tak, ty do rady jedyna.

P. ANIELA. I coż to zginęło Martusi? igła? szpilka?

MARTUSIA. Żebyż to igła albo szpilka, ale całuteńka pończoszka Niuni, wie paniuchna, ta niebieska, co to pani tak prosiła żeby na niedzielę skończyć, rozstap się ziemio, niema i niema.

P. ANIELA. A może Martusia poszła z nią do piwnicy, bo to się nieraz tak zdarza, i tam może została?

MARTUSIA (*machnąwszy ręką*). Gdzie ja nie byłam, i w pi-

wnicy i na górze, i w kurnikach nawet, a u siebie to wyrzuciłam wszystką pościel z łóżka, no, i niema.

P. ANIELA (*spoglądając na dzieci*). Niuniu, nie widziałaś czasem tej pończoszki? możebyś poszukała, wiem że ty masz dużo zdolności do odszukania zgubionych rzeczy.

NIUNIA (*patrząc na Włodzia*). Proszę... pani...

P. ANIELA. Włodziu, może ty wiesz co o tej pończoszce?

WŁODZIO (*jąkając się*). Ja proszę... pani... ja...

MARTUSIA. Widzi paniuchna kochana, siedziałam tu przy dzieciach, bo pani wypadło jechać do Wronowa, więc powiedziała: moja Martusiu, siedź przy dzieciach i pilnuj żeby się uczyły. Ja też usiadłam, i robiłam sobie pończochę, a dzieci się uczyły, niema co mówić słyszałam że się uczyły.

P. ANIELA. O tak, są tego dowody.

MARTUSIA. Spieszyłam się okrutnie, a nie chwając się robię pończochę prędko i ładnie (*pokazuje w rękę trzymaną niebieską pończoszkę*), o, widzi paniuchna, w taką kosteczkę, to nawet trudno, bo trzeba okrutnie uważać.

NIUNIA (*do Włodzia*). A ja ci mówiłam że to duża praca.

WŁODZIO. Tak, ty wszystko mówiłaś, po czasie.

MARTUSIA. Robię tedy, robię, dzieci się uczą, tego, to nie pamiętam jak było, czy ja się zdrzemnęłam trochę przed skończeniem pończoszki, czy po skończeniu, ale drzemałam tylko sekundę, muszę się już przyznać.

NIUNIA. Aha, Martusia spała z godzinę.

P. ANIELA. Cóż dalej, zdaje mi się, że tę pończoszkę znajdujemy zaraz.

WŁODZIO (*do Niuni*). Oj źle będzie z nami.

MARTUSIA. A no, jak się przebudziłam, tak obaczyłam, że pończoszkę skończoną miałam na kolanach, druty w kłębku jak się należy, ale pończoszki wprawdzie zrobionej ani oko.

P. ANIELA (*biorąc Niunię za rękę*). Niuniu, wiem że masz wiele wad swego wieku, ale się jeszcze na tobie nie zawiodłam, żądając prawdy, szczerzej, bezwzględniej. Niuniu, proszę cię o odpowiedź szczerą, prawdziwą, gdzie jest pończoszka, którą robiła Martusia?

NIUNIA (*kładąc rękę do kieszonki w którą schowała bawełnę*). Ja pani powiem prawdę, jabym nie mogła skłamać, jak pani tak pyta.

WŁODZIO (*chwytając p. Anielę za rękę*). Ja pani sam powiem, nie chcę być gorszym od Niuni, pani wie że i ja nie kłamię.

MARTUSIA (*składając ręce*). Dzięki Bogu, to się i pończoszka znajdzie.

WŁODZIO (*z niejakim zakłopotaniem*). Ja pończoszkę spróblem... przez... figle...

NIUNIA (*wyjmując bawełnę*). Oto jest bawełna... myśmy chcieli... żeby się Martusia zadziwiła...

WŁODZIO. Nie, Niunia nie chciała, jęj żal było tyle pracy, to ja, ja sam...

MARTUSIA (*zalamując ręce nad głową*). A mój Boże! tyle pończoszki, tyle pracy, o niedobre dzieci, ja już teraz nie zdążę na niedzielę drugiej zrobić, a przyrzekałam pani że skończę.

NIUNIA (*nieśmiało idąc do Martusi*). Niech się Martusia nie martwi, ja sama najgorzej na tem wyjdę.

MARTUSIA. A moje słowo, to nic nie znaczy? co? o nie, moja Niuniu, nocy nie dośpię, a drugą zrobić muszę, Martusia choć biedna, nie uczona, ale jak słowo powie, to dotrzyma. A co człowiek wart, który obiecuje, a nie dotrzymuje?

P. ANIELA. Martusia ma zupełną słuszność, kto raz słowa nie dotrzyma, nie wart, aby mu drugi raz wierzono

WŁODZIO. Pani to do nas mówi, ja rozumiem, bo my nieraz przyrzekaliśmy poprawę, a... a nie dotrzymaliśmy dotąd...

NIUNIA. To pani nie uwierzyłaby już, gdybym przyrzekała poprawę?

P. ANIELA. Trudno byłoby uwierzyć, przyrzeczenie to słyszałam najmniej sto razy.

WŁODZIO (*z westchnieniem*). Tak, to trochę za wiele.

MARTUSIA (*prostując bawełnę*). Oj te figle, te figle, a co to też temu Włodzowi nie przyszło do głowy, a ja oto myślałam że przez sen skończyłam pończoszkę. Tfu, Boże odpuść, człowiek stary, a pstro w głowie, a co tu się młodym dziwić.

NIUNIA (*biegnie do Martusi i obejmuje ją za szyję*). Moja Martusiu, moja złota, nie gniewaj się, to już ostatnia psota, do prawdy ostatnia.

WŁODZIO (*chwytając ją także za szyję*). Martusiu, Martusieńku, nie gniewaj się.

MARTUSIA (*poprapiając czepek*). Aj, aj, dzieci co robicie, no, no, już dobrze, dobrze, a toż mi głowę urwiecie.

NIUNIA. A nie gniewa się Martusia?

WŁODZIO. A przebaczy nam Martusia?

MARTUSIA. No, no, swawolniki, a czym to was nie wypiaśtowała, małam to z wami użyła, żebym się gniewać miała długo. Dobrze wy dzieciaki, tylko jeszcze wróble w głowie.

WŁODZIO. To i z Martusią dzięki Bogu dobrze poszło, ale pani czy da się przebłagać?

NIUNIA. I pani da się przebłagać, ale ja muszę powiedzieć wszystko, wszystko, cośmy tu na panią mówili.

P. ANIELA. Tak? a więc obmawialiście mnie, zamiast się uczyć lekcji, i pisać wypracowania?

WŁODZIO (*prędko*). Myśmy na panią ułożyli katechizm.

NIUNIA (*również prędko*). I na wszystkie nauczycielki.

WŁODZIO (*j. w.*). Mówiliśmy że to pani winna żeśmy dotąd nie dostali nigdy nagrody za wypracowania do Wieczorów.

NIUNIA (*j. w.*). I powiedzieliśmy, że w redakcji pomysłał że pani nie umie uczyć.

P. ANIELA (*z uśmiechem*). Czy już wszystko?

WŁODZIO (*ocierając czoło*). Zdaje mi się że już.

NIUNIA (*odetchnąwszy*). Już nie pamiętam.

P. ANIELA. Wypowiedzieliście wszystko szczerze, a ja przebaczam wam z serca. Wiem że to są słowa czcze, bez myśli głębszej, bo wierzę, wierzę w to zupełnie, że mnie kochacie.

NIUNIA (*kładąc rękę na sercu*). Jaka pani dobra, że w to wierzy, o! mówię prawdę (*z uniesieniem*) taką prawdę jak nigdy jeszcze, że... że ja panią bardzo kocham.

P. ANIELA (*wyciągając ręce*). W przywiązanie twe wierzę, gdybym jeszcze uwierzyć mogła, że będziesz pilną i pracowitą?

NIUNIA (*rzucając się w objęcia p. Anieli*). Już nie przyrzekam, ale przekonam panią.

P. ANIELA. Teraz wierzę, że się poprawisz zupełnie.

WŁODZIO. Proszę pani a ja?...

P. ANIELA (*wyciąga do niego rękę*). Myślę że podzielasz uczucie Niuni i jęj postanowienia.

WŁODZIO. O tak, tak (*całując p. Anielę w rękę, a ona go w głowę*).

MARTUSIA (*która przez cały czas powyższej rozmowy, rozplątywała bawełnę*). Pocziwe dzieci, dobre, ba, albow to ich tego nie uczyła od maleńkości.

NIUNIA. Ach jak mi lekko na sercu.

WŁODZIO. A mnie, jakby mnie kto na sto koni wsadził.

NIUNIA. Proszę pani, zabieram się zaraz do lekcji, a jeżeli mi się popłaczę, i powiem że anioły kryją się w postaci nauczycielek, to doprawdy nie zgrzeszę.

WŁODZIO. A ja zabieram się do wypracowania, a jeżeli na następne zadanie, nie dostanę nagrody w klasie, to... to... powiem że to niesprawiedliwość.

NIUNIA. I ja napiszę, a tak dołożę starania, że jeżeli ktoś je przeczyta to powie dopiero, ta dziewczynka ma nauczycielkę, kiedy tak pisać umie.

P. ANIELA. Wasze postanowienia uszczęśliwiają mnie, abyście tylko wytrwali.

WŁODZIO, NIUNIA (razem). Wytrwamy! wytrwamy, przekona się pani.

WŁODZIO. Dość swawoli i próżnowania.

NIUNIA (składając ręce). Ach Boże! dopomóż mi, żebym napróżno nie przyrzekała.

(zasłona spada).

UCZONE KRÓLIKI.

Podobnie jak lwy wspomniane przez nas poprzednio, dają obecnie przedstawienia w Paryżu uczone króliki. Dowodzi niemi młoda dziewczynka, ubrana, czyli raczej przebrana za królika, jak to widzimy na rycinie naszej. Czarna lub biała pluszowa sukienka z przykryciem głowy, na którem sterczą charakterystyczne uszy, ma naśladować futerko, laseczką zaś trzymaną w ręku pani królikowa kieruje poruszeniami posłusznego jęj króliczego narodu. To też na jęj skinięcie jedne króliki suną przez miedzianą rurę, drugie przeskakują przez zaklejone papierem obręcze, inne znów huśtają się na huśtawce i na desce lub przeskakują w pośród gałęzi zapalonych świeczników, a na ostatek jeden z najodważniejszych zapewne, strzela z pistoletu... pociągając za sznurek uwiązany u kurka.

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Oh!... czy nie zawiele się pan domyślasz?

— Nie dosyć na tem; kiedyindziej przychodzi znów żebrak o jakich wspominałem, tuła się po domach i chatach dąnej miejscowości, rozdając urzędnikom krajowcom, maleńkie placuszki, poczem sam zostawszy nawzajem obdarzony innemi, znika jak się pojawia. Placuszki owe zwykle tutaj, są to ze strony żebraka przybywającego z miejsc świętych, niby talizmany, za które dom obdarowany odwdzięcza mu się prawdziwemi, na zjedzenie przeznaczonemi i daleko większemi placakami. Otóż jestem najmocniej przekonany, że w owych talizmanach ukryte są najprawdziwsze rozkazy tajemniczych władz indyjskich, że w ten sposób w naszych oczach poprostu korespondują z sobą i umawiają się na naszą zgubę wrogowie nasi! A podobnych sposobów porozumiewania się mają oni bardzo wiele.

— A więc, jeżeli tak, to my jesteśmy bezbronnymi zupełnie w obec tak wyrafinowanej chytrłości, gdyż choćby się nawet wiedziało napewno, że taki talizman zawiera najzupełniejszy dowód zdrady i buntu, przecież nie wiem, czy można by się odważyć sprawdzać...

— Co? przełamać placek naprzykład? lub choćby dotknąć go nawet? W żadnym razie! Byłoby to niechybnie uważane jako nowa zniewaga religii i przyspieszyłoby tylko to czego możemy się lękać niestety... byłoby dolaniem oliwy do ognia.

— Ależ moi państwo, przez litość, czyliż po to zebraliśmy się przy tym stole, aby tak straszyćmi przypuszczeniami opartemi na domysłach jedynie, obchodzić rocznicę dzisiejszą? — zawołał Jerzy nagle, gdy rozmowa starszych coraz bardziej stawała się ogólną, zachmurzając wszystkie czoła. Napelniono więc coprędzej kieliszki i wśród serdecznych życzeń, właśnie wedle zwyczaju trącano niemi o kieliszek Klary, gdy wtem drzwi rozwarły się gwałtownie i wpadł Soliman służący, błąd jak chusta ze stłumionym okrzykiem:

— Uciekajcie państwo! — dla Boga!... Pali się! kantor już cały w ogniu!

— Uciekać?... przeciwnie, ratować trzeba! — odpowiedziano; i po przejściu pierwszej chwili zdziwienia, wszyscy rzucili się do drzwi, zadając jednocześnie mnóstwo pytań:

— Czy w wielkiej jadalni są jeszcze wszyscy u stołu?

— Czy kantor był zamknięty w chwili powstania pożaru?

— Czy niewiadomo z czego wszczął się pożar?

— Czy jest kto w stajniach?... żeby konie nie wybiegły do ognia?...

Soliman z rozkrzyżowanemi rękoma zastąpił panom drogę:

— Dla Boga to pożar niezwykle... dom jest otoczony...

— Otoczony?...

— Więcej niż trzystu!...

— Ah... to Indusi! Zgubieni jesteśmy!... — szepnęła Klara sama do siebie, wspierając się o stół.

— Nie jeszcze, panienko! Oni mają tylko włócznie, łuki i noże, a my mamy doskonałe karabiny, chociaż tylko za sześciu służących pańskich ręczyć mogę... szczęściem ośmiu służących przyjechało z panami Thornem i na tych wszystkich można, uciekajcie państwo, my zasłaniać was będziemy!

Panowie zamienili spojrzenia: odgłos tłumów, podobny do szumu fal morskich, dolatywał z zewnątrz, gorzki dym przeciskał się oknami, trzask lekki dawał się słyszeć od strony ognia... zabudowania w większej części były drewniane.

— Gdzie są ci czternastu, których pewny jesteś? — zapytał Mac'Ulm. Soliman w odpowiedzi otworzył drzwi wiodące do bocznych galeryi, czternastu ludzi już tam stało.

— Zabierać broń i amunicję ile unieść zdołamy!... idźmy za radą Solimana! — rzekł Mac'Ulm, roztwierając żelazną kosztowną szafę, w której trzymał te skarby zarówno konieczne dla osadnika wśród lasów, jak niebezpieczne w drewnianych pałacach.

— My i nasi słudzy uzbrojeni jesteśmy od stóp do głów; od początku zaburzeń nie wyjeżdżam z domu inaczej — powiedział p. Thorn.

— Panie, wysokie kapelusze należy porzucić — odparł jeden ze służących jego — po tych kapeluszach zbójcy poznają panów, a właśnie przeciw wam jest na ten raz ta wyprawa i przeciw panu Jerzemu, dla tego że jesteście dostawcami dla armii...

— Tak, ależ dostawcami żywności, nie zaś naboju smarowanych tłuszczem, o co im właściwie idzie: o!... osły! — rzekł Jerzy.

— Obawiali się napaść panów Thornów w mieście i skorzystali z dzisiejszej sposobności przyjazdu tu do willi...

— Zkąd o tem wszystkim wiecie?

— Przed pół godziną jeden z czających się napastników, znajomy naszego Roba spotkał go i tłómaczył mu to wszystko, celem namówienia abyśmy im poroztwierali bramy i wpuścili ich aż do tej sali.

Podczas téj krótkiej rozmowy dopełniono uzbrojenia, panowie Mac'Ulm zabierali pieniądze i kosztowności o ile można było i wnet dwudziestu i jeden ludzi z Klarą w pośrodku ruszyli galeryami w głąb ogrodów. Przez galerye szli spieszenie i spokojnie:

— A teraz, puśćmy się biegiem... — rzekł spokojnym stanowczym głosem pan Thorn wyjrawszy ostrożnie z galeryi na prawo i na lewo i widząc wszędzie poza wykwinutnemi ogrodowemi sztachetami, tłumy złowróżbnych wpół nagiich postaci. — A oto deski przygotowane na podłogę do nowój altany, weźcie do zasłaniania się od strzał! Klaro trzymaj się w pośrodku nas! i... w drogę!...

Puszczono się szybko ustawiając w formę prostokąta, ale zaledwo gromadka uciekających ukazała się w ogrodzie, dzikie wrzaski powitały ją z lewego i prawego boku, chmura strzał zaświszczająca przeraźliwie w powietrzu, a za strzałami tłumy potworów ziejących bezrozumna żądzą zemsty na niewinnych, burząc lub przeskakując sztachety i inne przeszkody, poczęły dążyć z podniesionemi włóczniami w rękę ku uciekającym.

Pierwsze strzały nie trafiły nikogo, bo znaczna ich część

utkwiała w deskach, któremi jakby tarczami uciekający osłaniali siebie i Klare, biegnącą w pośrodku. Ale goniący zbliżali się szybko:

— Ognia! nie zwalniając kroku — rozkazał pan Thorn. Dwadzieścia jeden strzałów huknęło.

Dzikię, zwierzęce ryki szalonego gniewu napęłniły powietrze: broń była doskonała, strzelający umieli jęj używać, a strzelali w zbite tłumy, ani jeden strzał przeto nie chybił. Dwudziestu i jeden napastników padło nieżywych lub ciężko rannych; tłumy zachwiały się i zatrzymały na chwilę; były tak pewne bezspornego prawie zwycięstwa, że to co zaszło, zdziwiło je mocno.

— Nabijać! nabijać co tchu, nie zwalniając biegu! — wołał do swoich pan Thorn, pragnąc korzystać z chwili wahania się wrogów. Jednakże niezadługo zmuszony był znowu zakomenderować:

— Ognia!... — strzały były niemniej celne, zakotłowało się wśród napastników, ale pierwsze wrażenie już minęło; gonili teraz tem zajadłej że tylko co doznane straty podniecały ich gniew i mściwość. Zbliżyli się w mgnieniu oka, nie było czasu nabić karabinów.

— Rewolwery w rękę!—rozkazał pan Thorn. I w chwili gdy dzika tłuszcza ostatnim skokiem tygrysim miała spaść na swe ofiary i zgnieść je, ozwała się salwa z rewolwerów i pierwszy szereg tygrysów w ludzkiej postaci zachwiał się i padł w tył na towarzyszy, ziejąc gładem piekielnych złorzeczeń.

— Prędzěj, prędzěj, spieszmy do lasku, tam łatwiej będzie można się obronić — wołał pan Thorn.

Lasek odległy był o jakie sto pięćdziesiąt metrów; wśród ciągłego ryku i wojennego wycia napastników, strzały ich padały bezustannie chmurą na garstkę uciekających pod ochroną desek jedynie; trzeba było dobiec lasku lub zginąć na miejscu; nie było wyboru. Wyteżano więc wszystkie siły. Ale wzruszenie i bieg gwałtowny wyczerpywały Klarę, przystawiała przeto mimo wszelkich wysiłków, prostokąt zatem pierwotny, w jaki ustawili się uciekający, wydłużał się, bo dla niej przystawał Wiliam z lewej strony, pan Mac'Ulm z prawej i Soliman z tyłu, zasłaniając ją deskami i ciałem własnem. W takich warunkach każda ubiegająca sekunda musiała z konieczności pogorszać stan rzeczy. To też gdy Indianie, tylekroć odparci, rzucili się raz jeszcze na nieszczęsnych zbiegów, trzej owi ludzie stanowiący *arriere garde* zmieniając front w mgnieniu oka musieli wypalić z rewolwerów prosto w piersi zbójców zamierzających się na nich włóczykami. Dym osłupił na chwilę wszystkich. Wtedy korzystając z chwilowego zamieszania wśród nieprzyjaciół, uciekający przyspieszyli ostatnim wysiłkiem biegu tak, że gdy dym się rozpierzchnął ujrzeli wrogów o jakie pięćdziesiąt kroków za sobą, ale w tej chwili:

— Gdzie jest Klara? — jęknął Mac'Ulm.

— Klara! Gdzie Klara?...

Klara bez sił i przytomości leżała o kilka kroków w tyle na ziemi, a Wiliam i Soliman stali nad nią broniąc ją od chmary otaczających zbójców.

— Na pomoc, wracajmy im na pomoc! — zawołano. Ale nie było to w ludzkiej możliwości. Jednocześnie gdy jedna gromada zbójców walczyła z Wilianem, druga z Solimanem, inni podsunawszy się im pod ręce unieśli Klarę.

Wyrwając się otaczającym, przeskakując przez nich, Wiliam rzucił się za tamtymi i ostatnią jaką rozporządził kulę, wpakował w piersi porywcy; Soliman z nożem w ręku pędził jak lew za drugim, z rozgorzałym okiem z pogardą

śmierci wyrytą na licu, i padł przebity mnóstwem włóczy swoich
ziomków, wierny wyjątkowo sługa-Indyanin.

Tłum wyjących, wstrząsających włóczyniami, napinających łuki postaci, zasłonił tę grupę nieszczęsną przed oczyma reszty uciekających, goniąc ich dalej zapamiętałe: słudzy czerpiąc siły w rozpachy powleki gwałtem z sobą dwóch bezradnych teraz i bezprzytomnych z boleści ojców.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

(ułożył Orzeł biały).

Sylaby: A — a — an — bel — gal — ha — Jo — Job — Kap —
la — Ly — na — re — Or — San — sy — Wal — wid. —
Z powyższych sylab ułożyć 9 wyrazów. Początkowe litery,
czytane z góry na dół tworzą pierwszą literę imienia i na-
zawisko znakomitego naszego poety, końcowe zaś, czytane
z dołu do góry, tytuł jego arcydzieła.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię francuzkiej bohaterki. 2. Rzeka w Polsce. 3. Człowiek pozbawiony włosów. 4. Nazwisko żmudzkiej rodziny. 5. Miejsce pośmiertnego pobytu bohaterów germańskich. 6. Imię biblijne. 7. Miara. 8. Wyspa w Europie. 9. Prorok.

REBUS.

CIE



ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

Zagadki:

R ó ž a.

Łamigłówki liczbowe:

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17.

S e w e r y n a D u c h i ń s k a.

1. Dereń. 2. Ruch. 3. Kawa. 4. Siwa. 5. Duch. 6. Nerka.
7. China. 8. Sanki. 9. Druskenniki. 10. Nesus. 11. Ak.
12. Indus. 13. Wiek. 14. Humny. 15. Sawa. 16. Rynka.
17. Uncya. 18. Nad. 19. Krasiński. 20. Nie.

TRĘŚĆ: Anastazyja Dzieduszycka (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Najdawniejszy zabytek mongolskiego budownictwa (z drzew.) — Niebieska pończoszka, komedycja w jednej odsłonie, p. Bronisławę Porawską (dok.) — Uczone króliki (z drzew.) — W Indyach. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Nad morzem (z drzew.) — Zbyt mądre kureczę, wiersz p. T. N. Noc świętojańska. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

NAD MORZEM.

Oddawna już Zdziś i Helenka niczego goręcej nie pragnęli, jak zobaczyć morze. Morze! to prawdziwe wielkie morze o którym tyle się naczytali w przygodach Robinsona Kruzoe i Szwajcarskiego, takie piękne, spokojne i majestatyczne podczas pogody, a tak groźne, w czasie burzy!...

— Jakież ono ciekawe być musi, jak tam ślicznie nad brzegiem!... W zimie, skoro nadchodziła szara goździna, najmilsza zawsze do słuchania ciekawych opowia-

rym jej donosiła iż będąc osłabioną, usłucha rady doktorów, wysyłających ją dla wzmocnienia nad morze, wiedząc zaś jak marzą o tem Zdziś i Helenka, chce zabrać ich ze sobą na jakie kilka tygodni.

Szczęście dzieci nie miało granic! Zwiększyło się zaś jeszcze jak dowiedziały się że babunia wraz z niemi zabiera i troje ciotecznych rodzeństwa, dwie dziewczynki w wieku Helenki i małego chłopczyka, z którymi kochali się bardzo.

W miesiąc potem, wszyscy pod opieką babuni znajdowali się już w Zopot nad morzem Bałtyckiem.



Nad morzem.

dań, a wiedzieli że mateczka nie jest zajęta pilną robotą, natychmiast biegli ją prosić aby im opowiedziała cośkolwiek o morzu. Niezawsze było można, lecz czasami gdy lekcye dobrze poszły i na poparcie prośby mogli pokazać dobry stopień w dzienniczku od nauczycielki, mama, która przed pójściem zamąż mieszkała jakiś czas w Neapolu, dawała się uprosić, a wówczas cóż to była za radość!

Dzieci prowadziły ją do fotelu, siadały potem na stołeczku u jej nóg i z całą uwagą słuchały jak mówiła im o wielkich, jak całe piętrowe domy okrętach, o połowach ryb, burzach, prześlicznych pstrych kamyczkach i muszelkach które przypływ morza wyrzuca na brzegi. i tysiące ciekawych rzeczy.

Na podobnych marzeniach minęło im lat parę.

Helenka miała już lat dziesięć, Zdziś liczył mniej o rok jeden, gdy oto niespodziewanie jednej wiosny mama odebrała list od mieszkającej na wsi babuni, w któ-

Jakże przyjemnie płynął im czas razem!

Co rano, jak tylko wstali, biegli zaraz po śniadaniu na piaszczyste wybrzeże morza, usiane różnobarwnymi muszelkami i żwirem, zdejmowali buciki, i boso biegali po płytkiej wodzie i lśniącym ciepłym od słońca, białym piasku. Od strony morza dolatywał zdrowy, przesycony wonią wód słonych wiaterek, lub krzyk mew i szybującej rybitwy, a jak okiem sięgnąć nie widać nic prócz spokojnych zielonawych fal, co gdzieś w oddali, na krańcu horyzontu zdają się zlewać z lazurem nieba!

Z czasem, dzieci zapoznawały się z morzem coraz lepiej. Wiedziały, kiedy rybacy jadą na połów śledzi i innych ryb, a chłopcy poznali się nawet z małymi ich synkami, którzy towarzysząc nieraz swym ojcom w ich wyprawach, mieli im wiele ciekawych przygód do opowiadania.

Często też skoro wiedzieli że który z nich, wyjechawszy wieczorem ma nazajutrz powrócić, biegli rano nad

brzeg, i usiadłszy gromadką na piasku, śledzili bacznie czy w dali na wodach nie ujrzą małej ciemnej łupinki, lub białego punkciku, czem z odległości wydaje się łódka i żagiel rybaka. A kiedy po długiem wyglądaniu ujrzeni ją nakoniec, to cierpliwie oczekiwali dopóki nie przyplynie do brzegu. Jedna z dziewczynek czytała wówczas głośno, jaką zajmującą powiastkę z przyniesionej ze sobą książeczki, aby czas oczekiwania prędkiej ubiegł, a potem radosnymi okrzykami witano wysiadających rybaków, i oglądano uważnie owoce wyprawy: ryby, jakich niema w naszych wodach łądowych.

I przytem zawsze z głębi serca każde z dzieci posłało do Boga krótką modlitwę, dziękując iż pozwolił tym pracowitym ludziom szczęśliwie powrócić do domu i rodziny, i cieszyć się jeszcze życiem, którego tak łatwo jedna burza mogłaby ich pozbawić.

Cairo.

ZBYT MĄDRE KURCZĘ.

Prawdą jest niezawodną, a nie żadną bajką,
Że częstokroć od kury mędrszem chce być jajko.
By codziennęj tój prawdy przykładem tu dowieść,
Przytoczę dla was, dzieci, o kurczątku powieść.
U wiejskiej gospodyni piękna kura biała
Zniósłszy jajko, troskliwie je wysiadywała,
Wkrótce ze swęj skorupki kurczę się wykuło.
Dobra kura dla niego bardzo była czuła...
Na nieszczęście, pomimo macierzyńskie cnoty,
Matka psuła swe dziecko wielkimi pieszczoty.
Nic dziwnego, iż kurczę, jeszcze bardzo małe,
Stało się i uparte i zarozumiałe.
I podobnie jak wszystkie zbyt pieszczone dziatki,
Nie miało chęci słuchać rad i przestróg matki.
Źle bardzo gdy kto przestróg matki nie pamięta.
Raz, wieczorem, kurczątko spostrzegłszy kaczęta,
Które pływały sobie spokojnie po stawie,
Chciało także mieć udział w nieznanęj zabawie,
I razem z kaczętar kąpieli używać.
Niestety to biedactwo nie umiało pływać,
Weszło jednak do stawu — i cóż się zrobiło?
Oto, kurczę zbyt mądre w nim się utopiło.

T. N.

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

(Dalszy ciąg).

Skoro stanęli na skraju lasu w chmurach zagrzmiało głucho. Z głębi lasu doszło ich wołanie puszczyka a nad głowami z szelestem skrzydeł przefruwały nietoperze. Ta czarna głębia cieniów przejmowała ich jakimś zimnym dreszczem pociągając jednocześnie magnetycznym wpływem otchłani.

Chłopcy stanęli. Drzewa odwieczne, przybierające w cieniach nocy postaci olbrzymów, zdawały się patrzeć

na nich smutnie kiwać głowami, poruszane wiatrem, jak gdyby się litowały nad ciemnotą zabobonu.

Helenka przymknęła oczy. Konwulsyjnie w obydwóch dłoniach ścisnęła rękę Stasia drżąc całym ciałem nie mogąc nad sobą zapanować.

— Cicho bądź! — zawołał Zygmus odzyskując najpierw odwagę. — Czegoż tu się bać? las i koniec. Stasiu trzymaj ją za rękę i za mną! Musi już być dwunasta, kwiat paproci rozkwita, dalej!...

Te ostatnie słowa wywarły wrażenie. Obawy pierzchły w jednej chwili i śmiało zagłębiono się w las ciemny.

— O kwiecie, cudowne ziele, ukaż się, ukaż! — szepotali wszyscy, przedzierając się z zapałem przez zarośla.

I zatapiając wzrok w ciemnościach czekali gorączkowo rychło z tój płataniny gąszczu błysnie im świetlane ziarneczko, a szukając szli coraz dalej a dalej.

W głowach jakiś zamęt nie do opisania sprawiał im zawrót. Słyszeli wyraźnie uderzenia pulsów w skroniach. Silny aromat ziół i traw leśnych odurzył ich całkowicie, idąc wciąż przed siebie zapominając się zdawali o strachu i świecie całym.

Chłopcy myśleli tylko o skarbie i... Luizyannie.

A tymczasem czas mijał, za nimi drzewa zasłaniały coraz więcej przeglądającą jasność księżyca i drogę, zarośla stawały się gęściejsze, zapach odurzał coraz bardziej.

Pajęczyny z krzaków osiadały im na twarzy, gałęzie szarpały ubranie, na czoła występowały krople potu ze znużenia i podniecenia myśli, nie zważali nic na to, przedzierając się wciąż naprzód. Aż nagle stanęli jak w ziemię wryci. Ciemności dokoła nich rozjaśniła błyskawica i silny huk piorunu wstrząsnął lasem.

— Uciekajmy! — krzyknęła Helenka przerażona — burza idzie!...

— Burza — potwierdził Zygmus — trzeba chyba wracać...

— A kwiat paproci? — zapytał Staś — czy mamy wracać bez niego. Nie, nigdy! Wolę burzę, pioruny niż go się wyrzec. A zresztą czyż nie wiecie że to „złe” tak straszy, burzy wcale niema na dworze.

— Niema burzy? — powtórzyła Helenka zdziwiona.

— Naturalnie że niema! — Mówił przecie owczarz że złe będzie różnemi sposobami straszyło, ale właśnie trzeba je zwalczyć odwagą...

— Kwiat paproci musi być zatem gdzieś blisko nas — przerwał przekonany tem dowodzeniem Zygmus. — A więc baczność!...

I znów rzucili się gorączkowo do szukania.

Ale pomimo tych słów, którymi chcieli napróżno już, zagłuszyć w sobie obawę i wzbudzić nową energią, oszukując się nawzajem, trwoga opanowywała ich coraz większa. Drżąc ze strachu Helenka odejmowała im jeszcze bardziej odwagę i choć się do tego nie przyznawali, nadzieja wynalezienia kwiatu a z nim rozlicznych skarbów, opuszczała ich zwolna.

W lesie powstawał gwar coraz większy.

Wiatr miotał wierchołkami drzew, z każdą chwilą gwałtowniej, świszcząc przeraźliwie prześlizgiwał się po-

śródn, a skrzypienie gałęzi i szelest suchych liści zdawały się wołać ponuro:

— Uciekajcie!... uciekajcie!...

Wreszcie nie mogli już dłużej udawać. Hela płakała trzymając się obydwóch chłopców za ubranie, więc niby przez wzgląd na nią:

— Staś — odezwał się po chwili. — No, trudno coś znaleźć jak się idzie z trwożliwemi kobietami co tylko przeszkadzać umieją. Musimy już wracać do domu...

— Niepotrzebnieśmy ją tylko brali — dorzucił Zygmus — ha, więc wracajmy...

W tój samėj chwili nowa błyskawica zakreśliła zyg-zakiem niebo i pioruny jeden po drugim uderzyły nokoło.

Parne powietrze dusiło prawie, drzewa trzeszczały od wichru i niby wołały natarczywiej: Uciekajcie, uciekajcie...

Teraz już obaj chłopcy wzięwszy Helę za ręce zaczęli biedz szybko.

— Boże, Boże, ratuj nas, ratuj! — wołała łkając głośno dziewczynka.

— Cicho Helo! — uspokajali ją drżącym głosem — za chwilę będziemy już na drodze; las się kończy, za kwadrans będziemy w domu...

Ale jakoś niestety, końca lasu nie było jeszcze widać, choć biegli prędko, tak prędko, że tchu zaczynało im braknąć.

Szlochanie Heli zlewało się w jeden chaos z odgłosem burzy, a za każdym błysnięciem widzieli się otoczeni niby zwartym szańcem wojska olbrzymów, wieńcem starych drzew rozłożystych. Nagle z ust jēj wydarł się okrzyk głośniejszy jeszcze od echa grzmotów w lesie...

— Wilki, wilki!... — zawołała rozdzierającym głosem.

Chłopcóm, których i tak od pewnego czasu przerażała strasza prawda że zabłądzili w zaroślach, te słowa ścięły krew w żyłach. Staś uchwycił ręką w kieszeni rękojeść rewolweru, Zygmus instynktownie pociągnął ich do grubego pnia brzozy, bielejącego w ciemności. Obaj spojrzawszy przed siebie zadrżeli. O parę zaledwie kroków między krzakami świeciło kilka par oczu nieruchomie w nich utkwionych. O tych błyszczących jak światełka oczach nasłuchali się wiele od ojca, który niejednokrotnie zimą, miał z niemi w drodze do czynienia, więc choć nie widzieli nigdy sami poznali teraz od razu. Tak, Hela miała rację, musieli gdzieś w lesie zbłądzić daleko i poczuły ich wilki!...

(d. c. n.)

OBIETNICA.

„Kiedy urosnę — Jadzia mówiła,
To będę grzeczna, dobra i miła;
Wszystko ułożę i zrobię sama,
Nigdy mnie łajac nie będzie mama”.

A ta z uśmiechem łagodnie rzecze:
„Co się odwlecze, pewno uciecze!
Odkładać, czy to jest rzecz konieczna?
Nie! lepij zaraz bądź dobra, grzeczna!”

Ewa Marya.

SZARADA.

ułożona przez Ewę Maryę.

Piarwsza woła raz po raz: „Cicho! cicho! dziatki.
Druga z trzecią najlepszą jest od zancj matki.
Trzecia w pracy śle na chleb i oświatę grosze,
Cała pyta: „Czem jestem?... odpowiedzieć proszę.

Łamigłówka kryształowa.

1. Litera.
2. Płyn owocowy.
3.
4. Przynęta na muchy.
5. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery powinny utworzyć nazwę młodego swawolnego zwierzątka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

Zagadki:

A r a.

Czarodziejskiej sztuczki:

Bryłka, Kra, Rusza, Drga, Ucho, Kura, August.

Skrzynka do listów.

Na liścik twój kochana **Sosenko** spieszymy odpowiedzieć, że projekt podany innym panienkom byłby, choć z jednej strony do bry, nie wykonanym w miejscu gdzie ciągle spotykamy się z podobnym rodzajem kwesty dla biednych, liściku przeto nie ogłaszamy, przyjmując twoję chęć dobrą za uczęstkę, ściskamy cię serdecznie.

Całem sercem odczuwamy boleść twoję, biedna **Stokrotko z nad Stochodu**, pamiętaj, że Bóg jest ojcem sierot, módl się i pracuj a i w tem wielkiem nieszczęściu spłynie ci z nieba pociecha. Wieczory pod wskazanym adresem poselamy.

Helenie Bitnerowej w Wierchówce. Żadaną historję posłałimy, kosztuje wraz z przesyłką rs. 1 kop. 20, prosimy przeto o zwrot dodanych 20 kop.

Kochana **Niezapominajko z nad Jabłoni** z serdecznem współczuciem przyjęliśmy wiadomość o twój chorobie. Ciężka to rzecz w twoim wieku leżeć w łóżku tak długo, ale wszelka jest nadzieja, że przy troskliwej opiece „*Maci*”, która kuracyi twojój pilnuje, szczególniej zaś przy pomocy Bożej, wyzdrowienie rychło nastąpi. Wiadomości o zdrowiu twojem z upragnieniem wyglądać będziemy, tymczasem szczerze się cieszymy, że Pisemko nasze przyczynia się do skracania ci chwil choroby. Dobrj bądź myśli dziewczeczko droga, bo i to niepomalu przyczynia się do zwalenia choroby.

Gałązka Paproci przysłała nam wyrazy, które najmilszą nagrodę starań naszych stanowią. „Prostemi i własnymi słowy” ujęła nasze serce pocziwa ta zieleń leśna.

Prawda bez trudności nas przekonała o przyczynach, dla których nagrody pragnie. Przyznaje się też do winy (co z pseudonymem jēj jest zgodne), oto w liściku swoim do Szczeroci „zamiast *Zosia* napisała *Wandzia*”.

Odwážnemu Pływakowi serdecznie wieszujemy promocy z nagrodą; a teraz prawo, jeżeli nie pływać to bujać swobodnie po górach, z kądem zapewne przywiezie zapas zdrowia i zwiększoną jeszcze ochotą do nauki.

Tę, która dla tak szlachetnych powodów „nie pragnie odpowiedzieć” mówimy tylko „Boże dopomóż!”

Westalko droga, nigdy nam się korespondentki nasze „nie naprzykrzają”. Nie dziwimy się, że tak lubisz wieść...

Jaskółka z nad Willi korespondencją z nami rozpoczęła dobrym uczynkiem jakżeż tu nie powitać serdecznie takiej korespondentki?

Ukrainka z Mazowsza obawia się być „natrętną”, dla czego? O ile to w naszej możności, zawsze chętnie odpowiadamy na pytanie. Autorka chce jeszcze pozostać nieznaną; wierszyki tłómaczone są z oryginału.

Nie **Dziewanno z pól Mazowieckich** nie zapomnieliśmy kandydatki na staruszkę.

„Z własnej pracy”, **Czarnooka z Puszczy** to więcej niż datek, to ofiara najlepsza i najprawdziwsza. Tak tobie, jak i wszystkim, którzy na kolonje letnie nadsyłają, składamy serdeczne: Bóg zapłać!

Błądny Ognik zachęcony jedną nagrodą, ma także ochotę przejechać się na Atlantę? Zobaczmy już niedługo, kto tę podróż odbędzie!

Błada Różyczka z gub. Mińskiej powołując się na dawniejsze posiadanie swego pseudonymu, prosi swą imienniczkę by ta dobrała inne jakieś określenie. My zaś ponawiamy prośbę, aby korespondentki nasze zechciały obok pseudonymu wymieniać imię swoje, nazwisko i wiek. Nie tyczy się to tych, które w ostatnich kilku miesiącach zadość uczyniły naszej prośbie. 5 tomów Zdanowicza kosztuje rs. 5; „Wzory rysunków dla początkujących” Adlera, zeszytów 18, cena pojedynczego kop. 15. Zastosowana tam metoda rozpoczynania rysunku od kresek, wydaje nam się dobra.

Cieszy mnie to niewymownie, **Niezapominajko z Zacisza**, że listy moje podobały ci się i zjednały mi w tobie korespondentkę. Zazdrościsz mi pobytu w Warszawie? Istotnie wiele tu jest ciekawych rzeczy do widzenia; ja jednak zawsze z przyjemnością wyjeżdżam na wieś, gdzie także niemało nauczyć się można. Zarówno lubię wieś i miasto, sama też nie wiem, którą naukę nad inne przekładam; te których przedmiotem są dzieje lub prace ducha ludzkości, nie mogą nie zajmować mnie żywo; te w których znajduję tłómaczenie otaczających mnie zjawisk mają też dla mnie powab wielki... Branki w Jassyrze wyszły już z druku w osobnej książce; nie dziwię się, że pragniesz tę powieść przeczytać.

Szarotce alpejskiej uściskiem płacę za uścisk, a nadesłane mi łamigłówek oddaję do uznania Redakcyi.

Biała Ostróżko, nie posiadam w Redakcyi takiego przywileju, któryby mi pozwalał porywać się na powagę „kolei”. Liściki „treści ogólnej” jak powiadasz „wyjątkowo się tylko drukuje; zależy to od treści i od obrobienia.

Gwiazdce z Podola posłane już „Baśnie”, które wraz z przesyłką kosztują rs. 1 kop. 80, resztę oddałam Redakcyi, jak tego żądałaś Gwiazdko. Ja także podzielałam twoje zdanie, że nagroda ładniejsza, czy mniej ładna, zawsze jest miła, gdy się na nią zasłużyło.

Muszka brzęcząca zadowolona ze swojej wszak prawda? a i mnie też niewymownie, miło gdy której z was można zrobić przyjemność przyznaniem nagrodny.

Goląbka.

Kochana Biała Chmurko! Obralam sobie dla tego mój pseudonym, że mi się bardzo podobał. Dwie Siostry czytałam kilka razy, szczególniejniej podobała mi się Janka. Jestem szatynką, i na swój wiek dosyć wysokiego wzrostu, mam ciemne oczy. Zdaje mi się droga Chmurko, że jesteś Helunia Sz. i masz dwie młodsze siostrzyczki Klimusię i Maniusię. Napisz mi czy tak jest? Całuję cię serdecznie. *Wesoła Krakowianka.*

Kochana Sikorko! Czy nie jesteś Wiktusią N? i czy masz 4 siostry i dwóch braci? Jeżeli zgadłam to domyśl się kto jest Ostróżką. Powiem ci tylko iż mam lat 12 i jednego brata. Ścisnę cię wraz z młodszą siostrzyczką: *Biała Ostróżka.*

Serdecznie pozdrawiam Białą Chmurkę, Cichą Wodę i Czapłę z nad Pohanki z rodzeństwem.

Kochana Jaskółko z nad Sekwany! Byłam bardzo rada poznać ciebie z bliska; będę więc teraz do ciebie pisywać często, jeżeli zechcesz. Odpisz mi niedługo. A tymczasem ścisnę cię serdecznie. *Goląbka Wersalska.*

Kochana Lilijko z nad Wisły! Zdaje mi się, że jesteś Natalią Sz., czy tak? Widziałyśmy się dwa razy. Ja się nazywam Maryla. Zgadnij kto jestem. *Różowa Jutrzenka.*

Miła Grażyno! Nazywasz się Teresa W., wszak zgadłam? Dopiero teraz ci odpisuję, ponieważ miałam wiele zajęcia podczas egzaminów. Nie wątpisz zapewne, że mi się powiodły. Dawno już opuściłaś pensję, a jednak nie odzwyczaiłam się od ciebie i brak mi często twego towarzystwa. Dziękuję ci bardzo za współczucie, którego jednak nie potrzebuję, gdyż nie zapracowywałam się wcale. Ścisnę cię serdecznie *Mucholówka.*

Najchętniej piszę się na twego korespondenta, kochany Skanderbegu, donoszę ci tymczasem, że mam lat 14, chodzę do szkół i mam dwóch młodszych braci, na imię mi Wacław, czytać lubię bardzo. Oddany ci *Soból Irukci.*

Kochana Mimoso z Kępna. Do napisania listu skłonił mnie twój śliczny wiersz p. t. „Powiastka konkursowa”, który teraz dopiero spostrzegłam. Donieś mi przez nasze kochane Pisemko, czy nie byłaś na pensyi w Chelmania z dwiema starszemi siostrzyczkami? Odpisz niezadługo życziwemu *Marzeniu z nad noteckich dolin.*

Kochana Cyganecko z nad Wisły! Czy zechcesz ze mną korespondować? Mieszkam na Rusi na imię mi Maryja, mam lat 14, jestem ciemną blondynką o ciemnych oczach, najmłodszą z rodzeństwa. Lilianna i Cezaryna są moimi siostrami. Donieś mi co o sobie. Ścisnę cię *Jaskółka z Rusi.*

Pierwszy raz do ciebie piszę, kochana Jaskółeczko z nad Sekwany. Jeżeli zechcesz do mnie pisywać donieś mi co o sobie. Ja mam lat 17, jestem bardzo wysoką szatynką o niebieskich oczach. Mam siostrzyczki Liliannę i Jaskółkę z Rusi. Całuję cię po tysiąc razy, kochając cię *Cezaryna.*

Bardzo mi się spodobałaś kochana Stokrotko z listów twoich do innych panienek i pragnę się z tobą zapoznać, jako nowa korespondentka Wieczorów, które bardzo lubię. Na imię mi Wanda, mam lat 16, jestem szatynką o niebieskich oczach i mieszkam na Rusi. Oczekuję listu: kochając cię *Lilianna.*

Kochana Jakóbinko! List Różowej Jutrzenki bardzo mię zaciekał, bo znam panienkę tego imienia, której nazwisko także od R się zaczyna. Donieś mi więc czy mieszkasz na Nowogrodzkiej ulicy? i czy to ty odebrałaś nagrodę na konkursie gimnastycznym u p. Olszewskiego? Miła Złota Rybko i Topolko srebrna chciałabym z wami korespondować. Jak się nazywacie, i gdzie mieszkacie? Zaspokójdzie ciekawość kochającej was *Czarodziejki.*

Milutka Niezapominajko z Zacisza! Przeczytawszy w Wieczorach twą odezwę do wszystkich korespondentek, postanowiłam pierwsza się do ciebie odezwać, wiedząc dobrze jak to miło odbierać liściki przez nasze kochane Pisemko, które już czwarty rok czytuję. Donieś mi coś o sobie. Mnie na imię Teresa, kończę lat 13, mieszkam na Podolu w powiecie lityńskim. Czekam rychłej odpowiedzi i proszę o pamięć twoją *Rosiczka z nad Rowu.*

NA KOLONJE LETNIE ZŁOŻYLI:

Gwiazdka z Podola rs. 1 kop. 20. — Niezapominajka z Zacisza rs. 1. — Ukrainka na Mazowszu rs. 2. — Perełka i Fjolek rs. 6. E. 4. — Jaskółka z nad Willii z rodzeństwem rs. 1. — Czarnooka z puszczy rs. 1. — Sosenka rs. 1. — Sroczka z Ukrainy kop. 90. — Horpyna rs. 1. — Gospoia z nad Pilicy: ubranie. Dla ubogich matek złożyli: Perełka i Fjolek rs. 2. E. rs. 4.